

Fyvie

AUTOBIOGRAFIA

KEITH RICHARDS

Rozdział pierwszy

W którym zostaję zatrzymany przez policjantów w Arkansas
podczas naszej trasy po Stanach Zjednoczonych
w 1975 roku – sytuacja jest kryzysowa.

Dlaczego zatrzymaliśmy się na lunch w restauracji 4-Dice w Fordyce w stanie Arkansas w weekend Święta Niepodległości? Albo w jakiegokolwiek inny dzień? Pomimo tego wszystkiego, czego dowiedziałem się podczas dziesięciu lat jeżdżenia przez Pas Biblijny*? Malutkie miasteczko Fordyce. Rolling Stonesi w jadłospisie policyjnym w całych Stanach Zjednoczonych. Każdy gliniarz za wszelką cenę chciał nas przyskrzynić, żeby dostać awans, wykazać się patriotyzmem i uwolnić Amerykę od tych małych zniewieściałych Anglików. Był rok 1975, czas brutalności i konfrontacji. Sezon polowań na Stonesów trwał od naszej ostatniej trasy koncertowej w 1972 roku, znanej jako STP. Departament Stanu odnotował wtedy zamieszki (zgadza się), nieposłuszeństwo obywatelskie (również się zgadza), czyny nierządne (cokolwiek to znaczy) oraz przemoc wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych. A wszystko to nasza wina, zwykłych minstreli. Podżegaliśmy młodzież do buntu, deprawowaliśmy Amerykę, a oni orzekli, że już nigdy więcej nie będziemy mogli podróżować po Stanach Zjednoczonych. W czasach Nixona stało się to poważną sprawą polityczną. Wykorzystał swoich ludzi i brudne

* Pas Biblijny – tak określa się regiony USA, w których dominują konserwatywni protestanci.

sztuczki przeciw Johnowi Lennonowi, który – jego zdaniem – mógł przeszkodzić mu w wygraniu wyborów. My natomiast, jak powiedzieli naszemu prawnikowi, byliśmy najniebezpieczniejszym zespołem rock-androllowym na świecie.

Kilka dni wcześniej nasz wspañiały prawnik, Bill Carter, sam jeden uchronił nas od groźnych konfrontacji szykowanych przez policję w Memphis i San Antonio. A teraz Fordyce, miasteczko o populacji wynoszącej 4837 osób i z dziwnym czerwonym robalem w herbie szkoły, miało okazać się tym, które zgarnie nagrodę. Carter ostrzegał, żebyśmy nie jechali przez Arkansas, a już na pewno nie zbaczali z autostrad międzystanowych. Podkreślił, że stan Arkansas niedawno próbował przygotować ustawę, która delegalizowałaby rock and rolla. (Chciałbym zobaczyć, jak ją sformułowali – *Gdzie cztery uderzenia na takt grane są głośno i natarczywie...*). I oto właśnie jechaliśmy bocznymi drogami całkiem nowym żółtym chevroletem impalą. W całych Stanach Zjednoczonych nie było pewnie głupszego miejsca, w którym mogliśmy się zatrzymać samochodem wypakowanym prochami, niż ta konserwatywna buraczana społeczność z Południa, która niechętnie przyjmowała dziwnie wyglądających nieznajomych.

W samochodzie jechali ze mną Ronnie Wood, Freddie Sessler – niesamowita postać, mój przyjaciel i prawie ojciec, który w tej historii będzie pojawiał się jeszcze wiele razy – oraz Jim Callaghan, wieloletni szef naszej ochrony. Pokonywaliśmy sześćset pięćdziesiąt kilometrów z Memphis do Dallas, gdzie następnego dnia mieliśmy grać kolejny koncert na stadionie Cotton Bowl. Jim Dickinson, chłopak z Południa, który zagrał na fortepianie w nagraniu *Wild Horses*, powiedział nam, że krajobraz Teksasu i Arkansas wart jest jazdy samochodem. A poza tym mieliśmy dosyć samolotów. Lot z Waszyngtonu do Memphis był straszny. Nagle spadliśmy kilkaset metrów w dół, na pokładzie było dużo łkania i krzyków, fotografka Annie Leibovitz uderzyła głową w sufit, a gdy wylądowaliśmy, pasażerowie całowali asfalt. Byłem widziany, jak udaję się na tyły samolotu i przyjmuję różne substancje z większym niż zazwyczaj zaangażowaniem, podczas gdy samolotem rzucało w przestworzach. Nie chciałem, żeby coś się zmarnowało. Krótko mówiąc, kiepski lot starym samolotem Bobby’ego Shermana „Starship”.

Jechaliśmy więc samochodem, a ja i Ronnie okazaliśmy się szczególnie bezmyślni. Zatrzymaliśmy się pod przydrożną knajpą 4-Dice, usiedliśmy, złożyliśmy zamówienie i razem z Ronniem poszliśmy do kibla. Wiecie, żeby się trochę rozkręcić. Naćpaliliśmy się. Nie przypadły nam do gustu ani klientela tej knajpy, ani jedzenie, zostaliśmy więc w kibelku, śmialiśmy się i robiliśmy swoje. Siedzieliśmy tam przez czterdzieści minut. A w tamtych okolicach tak się nie robi. A już na pewno nie robiło się tak w tamtych czasach. Właśnie to pogorszyło sytuację. Personel zadzwonił po gliniarzy. Gdy ruszaliśmy, obok stał zaparkowany czarny samochód, a kiedy przejechaliśmy jakieś dwadzieścia metrów, zawyla syrena i pojawiło się migające światelko. Chwilę potem machali nam bronią przed oczami.

Miałem na głowie džinsową czapkę z mnóstwem kieszonek wypełnionych prochami. Wszędzie pełno było prochów. Wystarczyło odchylić panele na drzwiach, żeby zobaczyć ukryte plastikowe torebki pełne kokainy, trawy, pejotlu i meskaliny. O mój Boże, jak my się z tego wykaraskamy? Nie mogło nam się to przytrafić w gorszym momencie. To cud, że w ogóle zostaliśmy wpuszczeni do Stanów, aby odbyć tę trasę koncertową. Nasze wizy obłożone były warunkami, z czego doskonale zdawały sobie sprawę jednostki policyjne w każdym dużym mieście, a załatwione zostały dzięki Billowi Carterowi i jego koronkowej robocie wykonanej na odległość z Departamentem Stanu i Urzędem Imigracyjnym podczas dwóch poprzednich lat. Oczywiście podstawowym warunkiem było to, abyśmy nie zostali aresztowani za posiadanie narkotyków, a Carter miał być tego gwarantem.

Nie brałem wtedy twardego gówna, odstawiłem je na czas trasy. I mogłem to wszystko zapakować do samolotu. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego postanowiłem wozić ze sobą koks i tak ryzykować. Ludzie dali mi ten cały towar w Memphis, a ja nie chciałem go rozdać, ale i tak mogłem zapakować go do samolotu i jechać samochodem „na czysto”. Po co wypakowałem samochód, jakbym udawał dealera? Może zaspałem na samolot? Wiem, że dużo czasu spędziłem na otwieraniu paneli i ukrywaniu prochów. Tak naprawdę pejotl wcale nie był czymś, co zwykle brałem.

W kieszonkach na czapce był haszysz, tuinal i trochę koki. Pozdrowiłem policję, teatralnym gestem zdejmując czapkę, i wyrzuciłem pigułki i haszysz w krzaki. „Witam, panie funkcjonariuszu” (machnięcie czapką). „Ojej, czy złamałem jakieś tutejsze prawo? Proszę mi wybaczyć. Jestem Anglikiem. Czy jechałem złą stroną drogi?”. Od razu są zbici z tropu. I udało mi się pozbyć towaru. Ale tylko części. Zauważyli nóż myśliwski na tylnym siedzeniu i później postanowili, że posłużą on za dowód na posiadanie „ukrytej broni” – kłamliwe dranie. A potem kazali nam jechać za sobą na parking gdzieś za ratuszem. Gdy tak jechaliśmy, na pewno przyglądali się, jak wyrzucamy na drogę kolejne partie prochów.

Kiedy dotarliśmy do garażu, nie od razu zabrali się do przeszukania. Powiedzieli Ronniemu: „Idź do samochodu i przynieś swoje rzeczy”. Ronnie miał w samochodzie małą torbę, ale gdy po nią poszedł, wszystkie prochy, które miał, wsypał do pudełka po chusteczkach. Gdy wrócił, powiedział mi: „Wszystko jest pod siedzeniem kierowcy”. Więc poszedłem do samochodu, mimo że nie było tam nic, co mógłbym z niego zabrać, żeby zrobić coś z tym pudełkiem. Ale nie wiedziałem, co z nim, kurwa, mogę zrobić, więc tylko je trochę pogniotłem i wsunąłem pod tylne siedzenie. Wyszedłem i powiedziałem, że nie miałem nic w samochodzie. Nadal nie pojmuję, dlaczego nie rozbebeszyli całego auta.

Wtedy zrozumieli już, kogo mają („No proszę, proszę, kogo my tu mamy?”), ale też wyglądało na to, iż zupełnie nie wiedzą, co zrobić z tymi międzynarodowymi gwiazdami, które siedzą w ich areszcie. Postanowili ściągać posiłki z całego stanu. Nie wiedzieli też za bardzo, za co nas aresztować. Zdawali sobie natomiast sprawę z tego, że próbujemy zlokalizować Billa Cartera, i to musiało ich trochę przestraszyć, ponieważ byliśmy na jego podwórku. Dorastał w pobliskim miasteczku Rector i znał każdego policjanta, każdego szeryfa, każdego prokuratora i wszystkich lokalnych polityków. Może nawet żalowali, że dali cynk wszystkim agencjom prasowym i pochwalili się swoją zdobyczą. Pod sądem zaczęli gromadzić się dziennikarze ogólnokrajowych mediów. Jedna stacja telewizyjna z Dallas wynajęła nawet odrzutowiec, aby wyprzedzić konkurencję. Była sobota po południu, a oni dzwonili do Little Rock, że prosili stanowych oficjeli o radę. Zamiast więc zamknąć nas i puścić ten

obraz w świat, oni trzymali nas w luźnym „areszcie prewencyjnym” w gabinecie szefa policji, co oznaczało, że mogliśmy trochę spacerować. Gdzie był Carter? Biura na weekendy zamykano, nie było też komórek. Znalezienie go zajęło kilka godzin.

Przez cały czas staramy się pozbyć towaru. Jesteśmy nim obławowani. W latach siedemdziesiątych odlatywałem wysoko jak latawiec na czystej kokainie firmy Merck, puszystym farmaceutycznym koksie. Poszliśmy z Freddiem Sesslerem do kibelka. Nawet nas nie eskortowali. „Chryste-pane”, padł zwrot, który poprzedzał każdą wypowiedź Freddiego, „Jestem wypakowany”. Ma słóiczki wypełnione tuinalem. Jest tak zdenerwowany wrzucaniem ich do muszli klozetowej, że upuszcza buteleczkę i wszystkie pieprzone turkusowo-czerwone pigułki rozsypują się po podłodze, a on próbuje spuścić z wodą kokainę. Ja już wyrzuciłem haszysz i trawę, spuściłem wodę, ale ta kurewska trawa nie chce spłynąć, jest jej za dużo, więc ciągnę za spłuczkę znowu i znowu, a wtedy po podłodze z sąsiedniej kabiny zaczynają toczyć się pigułki. Próbuję je pozbierać i wrzucić do muszli, ale nie mogę, bo między moją kabiną a tą, w której siedzi Freddie, jest jeszcze jedna. Między nami na podłodze leży więc jakieś pięćdziesiąt tabletek. „Chryste-pane, Keith”. „Nie stresuj się, Freddie. Zebrałem wszystkie ze swojej kabiny, a ty?” „Chyba. Tak myślę”. „Chodźmy więc do środkowej kabiny i pozbierajmy te, które jeszcze zostały”. Posypało się z nas całe gówno. Niesamowite, ale każda kieszeń, każde miejsce wypełnione było prochami... Nigdy nie przypuszczałem, że mogę mieć tyle kokainy!

Niespodzianką miała być teczka Freddiego, która leżała w nieprzeszukanym jeszcze bagażniku samochodu, a my zdawaliśmy sobie sprawę, że jest w niej kokaina. Niemożliwe, żeby się na nią nie natknęli, gdy tam zajrzą. Freddie i ja zdecydowaliśmy, iż strategicznie wyprzemy się go na to popołudnie i powiemy, że jest autostopowiczem, ale jednocześnie, że chętnie obejmiemy go usługami prawniczymi naszego adwokata, jeśli ten wreszcie się pojawi.

Gdzie był Carter? Zebranie naszych posiłków zajęło trochę czasu, podczas gdy populacja Fordyce puchła do rozmiarów grupy gotowej wszcząć zamieszki. Ludzie z Missisipi, Teksasu, Tennessee – wszyscy

ściągali, żeby przyjrzeć się zamieszaniu. Nic nie mogło się zacząć, dopóki nie zlokalizujemy Cartera, a on był w trasie, nie za daleko, odpoczywał podczas zasłużonego wolnego dnia. Miałem więc czas, żeby zastanowić się nad tym, jak spuściłem gardę i zapomniałem, jakie obowiązują zasady: nie łamać prawa i nie dać się zatrzymać policji. Gliniarze wszędzie, a już na pewno na Południu, mają cały arsenał quasi-legalnych sztuczek, aby cię zgarnąć, jeśli tylko przyjdzie im na to ochota. A wtedy bez problemu mogą zamknąć cię na dziewięćdziesiąt dni. To właśnie dlatego Carter mówił nam, żebyśmy trzymali się autostrad międzystanowych. Pas Biblijny w tamtych czasach był o wiele szczelniejszy.

Podczas wczesnych tras koncertowych wiele kilometrów pokonaliśmy drogą lądową. Przydrożne knajpy zawsze były interesującym ryzykiem. Trzeba było być na nie gotowym. Zatrzymywanie się w zajeździe dla kierowców ciężarówek w 1964, 1965 albo 1966 roku na głębokim Południu albo w Teksasie wydawało się o wiele bardziej niebezpieczne niż cokolwiek, co mogło się przytrafić w mieście. Wchodziłeś, a tam siedziała banda facetów, i powoli zdawałeś sobie sprawę, że twój posiłek w towarzystwie ostrzyżonych na jeża kierowców z tatuażami nie będzie należał do przyjemnych. Nerwowo dłubiesz w talerzu. „Och, może poproszę to na wynos”. Z powodu naszych długich włosów nazywali nas dziewczynkami. „Jak leci, dziewczynki? Zatańczymy?”. Włosy... taka mała rzecz, o której czasem w ogóle się nie myśli, a która zmieniała kultury. Reakcje na nasz wygląd w niektórych częściach Londynu nie różniły się więc od tego, jak witano nas na Południu. „Cześć, skarbie”, i takie tam.

Była to nieustępliwa wojna, ale wówczas nie myśleliśmy o tym w ten sposób. Wszystkie doświadczenia były wtedy nowe i naprawdę nie byliśmy świadomi, jakie może mieć to dla nas konsekwencje. Powoli się do tego przyzwyczajaliśmy. Zauważyłem, że jeśli dostrzegli gitary i wiedzieli, iż jesteśmy muzykami, nagle wszystko było w porządku. Do przydrożnego zajazdu lepiej wziąć ze sobą gitarę. „Czy możesz coś zagrać, synu?”. Czasem tak robiliśmy: wyjmowaliśmy gitary i śpiewaliśmy za kolacją.

Wystarczyło jednak przejść przez tory, żeby otrzymać prawdziwą lekcję. Gdy graliśmy z czarnymi muzykami, opiekowali się nami. Było

mniej więcej tak: „Hej, chcesz się dziś zabawić? Spodobaś się jej. Nigdy jeszcze nie widziała kogoś takiego jak ty”. Witali nas, karmili i załatwiali nam dziewczyny. Biała strona miasta była martwa, ale po drugiej stronie torów bujało. Jeśli znałeś czarnych koleśków, byłeś w porządku. Niesamowita nauka.

Czasem graliśmy dwa albo trzy koncerty dziennie. Nie były długie, dwadzieścia minut albo pół godziny. Trzy razy dziennie, czekając na swoją kolej, bo to były zwykłe występy rewiowe, zespoły czarnych, amatorzy, lokalne przeboje białych i różne inne rzeczy. Gdy jechało się na Południe, podróż trwała bez końca. Mijało się miasta i stany. Nazywa się to gorączka białej linii. Jeśli nie śpisz, wpatrujesz się w białe pasy biegnące przez środek drogi, a co jakiś czas ktoś mówi: „Muszę się wysrać” albo „Jestem głodny”. Wtedy na chwilę wkracza się w teatralny świat przy bocznych drogach w Karolinach, Missisipi i tym podobnych. Wychodzisz z pęcherzem bliskim eksplozji, widzisz napis „Mężczyźni”, a tam jakiś czarny koleś stoi i mówi: „Tylko dla kolorowych”, ty zaś sobie myślisz: „Jestem dyskryminowany!”. Przejeżdżaliśmy obok małych lokali, z których dobiegała niesamowita muzyka, a z okien buchała para.

„Hej, zatrzymajmy się tutaj”.

„Może być niebezpiecznie”.

„Nie, daj spokój, posłuchaj tylko tej muzyki!”.

W środku grał zespół – trzech wielkich czarnych skurwieli – a wokół tańczyły czarne suczki z banknotami wetkniętymi za majtki. Wchodziliśmy i przez moment wszyscy mrozili nas wzrokiem, ponieważ byliśmy pierwszymi białymi, których tam zobaczyli, ale wiedzieli, że energia tego miejsca jest zbyt magiczna, żeby kilku białych facetów zrobiło jakąkolwiek różnicę. Zwłaszcza że nie wyglądaliśmy jak lokalni. Byli więc zaintrygowani, a my bardzo wczuli w atmosferę. Musieliśmy jednak ruszać w dalszą drogę. O kurwa, mógłbym zostać tam przez wiele dni. Trzeba było znów się wycofywać, choć piękne czarne damy ścisnęły nas między swoimi ogromnymi cyckami. Wychodziliśmy spoceni, przesiąknięci zapachem perfum i wsiadaliśmy do samochodu, a muzyka niknęła w tle. Myślę, że umarliśmy i znaleźliśmy się w niebie, ponieważ rok wcześniej graliśmy w londyńskich klubach i szło nam nieźle, ale rok

później znaleźliśmy się tam, gdzie nie przypuszczaliśmy, że kiedykolwiek się znajdziemy. Byliśmy w Missisipi. Graliśmy tę muzykę i robiliśmy to z wielkim szacunkiem, ale wtedy byliśmy właśnie tam i ją wdychaliśmy. Chcesz być bluesmanem, za chwilę nim jesteś i znajdujesz się wśród bluesmanów, a obok ciebie stoi Muddy Waters. Wszystko dzieje się tak szybko, że naprawdę nie możesz przyswoić tylu wrażeń. Wracają do ciebie dopiero później, bo jest ich zbyt dużo. Grać piosenkę Muddy'ego Watersa to jedno, ale granie z nim to zupełnie co innego.

Wreszcie wytropiono Billa Cartera w Little Rock, gdzie gościł na grillu w domu przyjaciela, który okazał się sędzią. Bardzo przydatny zbieg okoliczności. Miał wynająć samolot i dotrzeć do nas w ciągu kilku godzin, razem z sędzią. Sędzia, kumpel Cartera, znał policjanta stanowego, który miał przeszukać samochód. Powiedział mu, że policja nie ma prawa tego robić, i nakazał mu powstrzymanie się od przeszukania, dopóki nie dotrze na miejsce. Bieg wydarzeń znów stanął na kilka godzin.

Bill Carter dorastał, pracując przy lokalnych kampaniach wyborczych, więc znał prawie wszystkie ważne osobistości w całym stanie. A ludzie, dla których pracował w Arkansas, teraz należeli do najbardziej wpływowych demokratów w Waszyngtonie. Jego mentorem był Wilbur Mills z Kensett, prezes komisji budżetowej, drugi po prezydencie najpotężniejszy człowiek w kraju. Carter pochodził z biednej rodziny, w czasach wojny z Koreą wstąpił do sił powietrznych, studia opłacał pieniędzmi otrzymanymi za służbę, dopóki się nie skończyły, a potem podjął pracę w tajnych służbach i zajmował się ochroną Kennedy'ego. Tamtego dnia nie było go w Dallas – przebywał na szkoleniu – ale zwykle wszędzie z nim jeździł, planował jego podróże i znał najważniejszych urzędników w każdym stanie, który odwiedzał Kennedy. Był blisko centrum. Po śmierci Kennedy'ego został śledczym w Komisji Warrena, a potem otworzył własną kancelarię w Little Rock, stając się kimś w rodzaju „prawnika prostych ludzi”. Miał jaja. Jego pasją było prawo, właściwe postępowanie, konstytucja – prowadził na te tematy seminaria dla policji. Powiedział mi, że został obrońcą, ponieważ miał dość rutynowego nadużywania przez policjantów władzy i naginania prawa, a odnosiło się to do prawie każdego funkcjonariusza, którego spotkał podczas trasy

z Rolling Stonesami w niemal każdym mieście. Carter był naszym naturalnym sprzymierzeńcem.

Jego stare kontakty w Waszyngtonie okazały się atutem, gdy odmówiono nam wiz na trasę po Stanach w 1973 roku. Kiedy Carter pierwszy raz pod koniec tego roku wybrał się do Waszyngtonu w naszej sprawie, zauważył, że opinie Nixona dominowały w świecie biurokracji do najniższego stopnia. Poinformowano go oficjalnie, że Stonesi już nigdy nie odbędą trasy po Stanach Zjednoczonych, bo są najbardziej niebezpieczną grupą rockandrollową na świecie, podburzają do zamieszek, dopuszczają się licznych wykroczeń i lekceważą prawo. Wiele osób rozżłościło pojawienie się na scenie Micka przebranego za Wujka Sama, w amerykańskiej fladze. Tylko to wystarczyło, aby odmówić mu wjazdu. To był przecież tylko kawałek materiału. Musieliśmy więc uważać. Zatrzymali Briana Jonesa, ponieważ podniósł flagę, która poniewierała się za sceną, chyba w Syracuse, w stanie Nowy Jork, w połowie lat sześćdziesiątych. Przewiesił sobie ją przez ramię, ale róg dotykał podłogi. Było już po występie i zbieraliśmy się do wyjścia, kiedy policyjna eskorta wepchnęła nas wszystkich do biura. Zaczęli wrzeszczeć: „Ciagniecie flagę po ziemi. Poniżacie nasz kraj, to działalność wywrotowa!”.

Ja też miałem swoje policyjne akta – nie było od tego ucieczki. Wszyscy wiedzieli – czegoż to o mnie nie pisano! – że jestem uzależniony od heroiny. W Wielkiej Brytanii skazano mnie za posiadanie narkotyków w październiku 1973, a we Francji w 1972 roku. Kiedy Carter zaczął swoją kampanię, Watergate dopiero nabierała rozpędu – niektórzy ze sługusów Nixona trafili za kratki, a sam Nixon niedługo miał polecieć razem z Haldemanem, Mitchellem i całą resztą. Niektórzy z nich współpracowali z FBI podczas lewej kampanii przeciwko Johnowi Lennonowi.

Na korzyść Cartera, podczas kontaktów z urzędem imigracyjnym, działało to, że był „jednym z chłopaków”, miał przeszłość w organach ścigania. Cieszył się szacunkiem dzięki swojej pracy z Kennedym. Mówił: „Wiem, jak się czujecie, chłopaki”, i domagał się rozprawy, ponieważ twierdził, że nie jesteśmy traktowani sprawiedliwie. Po wielu miesiącach żmudnej pracy udało mu się wydeptać ścieżkę. Szczególną uwagę

poświęcał niżej postawionym pracownikom, ponieważ zdawał sobie sprawę, że z powodu aspektów „technicznych” to właśnie oni mogą utrudniać jego starania. Przeszedłem badania, aby udowodnić, że jestem czysty, a papiery dostałem od lekarza z Paryża, który już wiele razy wystawił mi taki dokument. Wtedy Nixon ustąpił. Carter poprosił najwyższego urzędnika, aby spotkał się z Mickiem i na własnej skórze przekonał się, jacy jesteśmy. A Mick oczywiście pojawił się w garniturze i go oczarował. Mick to naprawdę najbardziej wszechstronny facet. Dlatego go kocham. Mógłby prowadzić filozoficzną dyskusję z Sartre’em w jego ojczystym języku. Doskonale radzi sobie z tubylcami. Carter powiedział mi, że nie złożył podania o wizę w Nowym Jorku ani Waszyngtonie, ale w Memphis, gdzie jest spokojniej. Wtedy nastąpił niezwykle zwrot akcji: przyznano nam wizy. Ale pod jednym warunkiem: Bill Carter ma towarzyszyć Stonesom podczas trasy i osobiście zapewnić władze, że nie wybuchną żadne zamieszki oraz że zespół nie dopuści się żadnych nielegalnych czynów. (Zażądali również, aby podczas trasy towarzyszył nam lekarz – niemal fikcyjna postać, pojawiająca się w dalszej części książki – który stał się ofiarą naszego tournée, testował leki i uciekł z grupie).

Carter uspokoił ich, proponując, by trasa przebiegała w stylu tajnych służb, z policją przy boku. Inne jego kontakty miały informować go o planowanych nalotach policji. Dzięki temu wiele razy ocaliliśmy tyłki.

Od trasy z 1972 roku sytuacja zrobiła się bardziej poważna: odbywały się demonstracje, marsze antywojenne, a u władzy był Nixon. Pierwszy znak dostaliśmy w San Antonio 3 czerwca. Trwała trasa z wielkim dmuchanym kutasem. Unosił się nad sceną, gdy Mick śpiewał *Starfucker*. Kutas był świetny, ale później słono za niego zapłaciliśmy, bo Mick na każdej trasie domagał się rekwizytów, które miały ukryć jego brak pewności siebie. Bardzo trudno było wprowadzić słonie na scenę w Memphis. Zwierzęta w końcu połamały rampy i zaczęły srać na scenę podczas prób, i w końcu z nich zrezygnowaliśmy. Z kutasem nie mieliśmy żadnych problemów podczas pierwszych koncertów trasy w Baton Rouge, ale przyciągnął gliniarzy, którzy zarzucili próby dopadnięcia nas w hotelu, w podróży albo w garderobie. Jedynym miejscem, w którym mogli nas

dopaść, była scena. Zagrozili, że aresztują Micka, jeśli tej nocy kutas pójdzie w górę, więc mieliśmy wielki kryzys. Carter ostrzegł ich, że dzieciaki spalą arenę. Wybadał sytuację i zdał sobie sprawę, że fani nie pozwolą nas zamknąć. W końcu Mick uznał, że ulegnie władzom, i wzwód tamtego wieczoru w San Antonio nie nastąpił. Kiedy w Memphis grozili aresztowaniem Micka za śpiewanie piosenki *Starfucker, starfucker*, Carter powstrzymał ich, dostarczając listę piosenek granych w lokalnej rozgłośni radiowej, która wykazała, że nadawali ten kawałek przez ostatnie dwa lata. Za każdym razem, gdy pojawiała się policja, w każdym mieście, łamała prawo, działała nielegalnie, usiłowała robić naloty bez nakazów i przeszukiwać nas bez uzasadnionych podstaw. Carter to widział i był gotowy z tym walczyć.



Zanim więc Carter dotarł do Fordyce z sędzią pod pachą, nasze kartoteki nie były czyste. W mieście pojawiła się armia dziennikarzy, na drodze stanęły blokady, żeby zapobiec pojawieniu się jeszcze większych tłumów.

Policja chciała otworzyć nasz bagażnik, ponieważ byli przekonani, że znajdują tam prochy. Najpierw postawili mi zarzut nieostrożnej jazdy, ponieważ gdy ruszaliśmy z parkingu pod restauracją, opony zapiszczały, a spod kół wystrzelił żwirek. Dwadzieścia metrów brawurowej jazdy. Zarzut numer dwa: miałem „ukrytą broń”, nóż myśliwski. Aby jednak legalnie dostać się do bagażnika, potrzebowali „uzasadnionych podstaw”, a więc musieli znaleźć jakiś dowód albo żywić poważne podejrzenie, że doszło do popełnienia zbrodni. W przeciwnym razie przeszukanie pojazdu byłoby nielegalne i nawet jeśli udałoby im się coś znaleźć, sprawa zostałaby umorzona. Mogliby otworzyć bagażnik, gdyby widzieli kontrabandę, zaglądając przez okno do samochodu, ale niczego nie zauważyli. Sprawa „uzasadnionych podstaw” była przedmiotem burzliwych dyskusji między różnymi urzędnikami, którzy przewinęli się tamtego popołudnia.

Najpierw Carter jasno i wyraźnie stwierdził, że zarzuty są wyssane z palca. Aby wymyślić uzasadnione podstawy, gliniarz, który mnie

zatrzymał, powiedział, że czuł zapach dymu marihuanowego, który wydobywał się z okien samochodu, gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu. Dla nich był to powód, by zajrzeć do bagażnika. „Chyba myślał, że urodziłem się wczoraj”, powiedział do nas Carter. Gliniarze próbowali nas przekonać, że w ciągu minuty, od wyjścia z restauracji do wyjazdu z parkingu, mieliśmy czas, by zapalić jointa i wypełnić samochód wystarczającą ilością dymu, żeby można go było wyczuć z odległości wielu metrów. Twierdzili, że właśnie dlatego nas aresztowali. To wystarczyło, żeby zniszczyć wiarygodność policyjnych dowodów. Carter rozmawiał o tym wszystkim z rozwścieczonym szefem policji, którego miasto było oblężone, ale który zdawał sobie sprawę, że przetrzymując nas w Fordyce, może nie dopuścić do naszego wyprzedanego koncertu w Cotton Bowl Dallas zaplanowanego na następny wieczór. W naczelniku policji, Billu Goberze, widzieliśmy z Carterem archetyp gliniarza buraka, amerykańską wersję moich przyjaciół z posterunku w Chelsea – zawsze gotowych do nagięcia prawa i nadużycia władzy. Gober był człowiekiem, którego Rolling Stonesi doprowadzali do szału: ich stroje, włosy, to, co sobą reprezentowali, ich muzyka, a przede wszystkim wyzwanie, jakie rzucali władzom. Przynajmniej on tak to widział. Nieposłuszeństwo. Nawet Elvis mówił: „Tak, proszę pana”. Ale nie te długowłose śmiecie. Gober otworzył więc bagażnik, mimo ostrzeżeń Cartera, że będzie podważał jego racje aż do samego Sądu Najwyższego. A kiedy otworzył, to dopiero była zabawa. Pękaliśmy ze śmiechu.

Kiedy przekroczyło się rzekę między Tennessee (wtedy raczej „suchego” stanu) a West Memphis w Arkansas, sklepy monopolowe sprzedawały coś, co było po prostu bimbrem z brązowymi papierowymi naklejkami na butelkach. Ronnie i ja zaszaleliśmy i kupiliśmy każdą dziwną butelkę bourbona, która miała jakąś fantastyczną etykietę: Flying Cock, Fighting Cock, Grey Major. Małe piersiówki z egzotycznymi, ręcznie wykonanymi nalepkami. Mieliśmy w bagażniku ponad sześćdziesiąt butelek. Nagle więc zaczęli nas podejrzewać o przemysł alkoholu. „Nie, my je kupiliśmy, zapłaciliśmy za nie”. Alkohol w bagażniku chyba trochę ich zmylił. Były lata siedemdziesiąte i pijacy nie równali się ćpunom, wtedy istniał wyraźny podział. „Przynajmniej są facetami i piją

whiskey”. Potem znaleźli neseser Freddiego, który był zamknięty, a on powiedział im, że zapomniał kombinacji do zamka. Rozwalili więc jego walizeczkę i znaleźli w niej dwa małe pojemniki z farmaceutyczną kokainą. Gober myślał, że już nas ma, a przynajmniej, że ma Freddiego.

Znalezienie sędziego zajęło trochę czasu. Był już wieczór i kiedy przyjechał po dniu spędzonym na polu golfowym, podczas którego pił, był narąbany.

Sytuacja zamieniła się w komedię, w totalny absurd. Jak na filmach o Keystone Kops*, gdy sędzia usiadł za stołem, a różni prawnicy i gliniarze próbowali przekonać go do swojej wersji wydarzeń. Gober chciał, żeby sędzia uznał, iż przeszukanie i odnalezienie kokainy odbyło się legalnie i że wszyscy powinniśmy zostać zatrzymani pod zarzutem ciężkiego przestępstwa, to znaczy wsadzeni do paki. Od tej małej decyzji wymiaru sprawiedliwości zależała prawdopodobnie przyszłość Rolling Stonesów, przynajmniej w Ameryce.

To, co się wydarzyło, a o czym dowiedziałem się później z zeznań Billa Cartera i tego, co udało mi się podsłuchać, wyglądało mniej więcej w następujący sposób. Tak najszybciej da się to opowiedzieć, z przeprosinami dla Perry’ego Masona.

Obsada

Bill Gober – szef policji, mściwy i wściekły

Sędzia Wynne – sędzia miasta Fordyce, bardzo pijany

Frank Wynne – oskarżyciel, brat sędziego

Bill Carter – znany, agresywny prawnik reprezentujący

Rolling Stonesów, pochodzący ze stanu Arkansas,
z Little Rock

Tommy Mays – oskarżyciel, idealista, tuż po studiach

Inni obecni: Sędzia Fairley przywieziony przez Cartera,
aby zostać świadkiem fair play i aby uchronić go
od więzienia.

* Keystone Kops – grupa fajtlapowatych policjantów, bohaterów amerykańskich niemych komedii.

Pod sądem: dwa tysiące fanów Rolling Stonesów, którzy przyciśnięci do barykady skandują: „Uwolnić Keitha! Uwolnić Keitha!”.

Na sali sądowej

Sędzia: Zdaje mi się, że mamy tu do czynienia z przestępstwem. Przestępstwem, paaanowie. Czekam na ośwwiadczenia. Panie adwokacie?

Młody Oskarżyciel Publiczny: Wysoki Sądzie, mamy problem z materiałem dowodowym.

Sędzia: Państwo będą mi musieli na chwilę wybaczyć. Zarządzam przerwę.

(Zmieszanie w sali sądowej. Obrady odłożone na dziesięć minut. Wraca sędzia. Musiał iść na drugą stronę ulicy i kupić butelkę bourbona, zanim o dwudziestej drugiej zamkną sklep. Butelka jest teraz w jego skarpetce).

Carter (przez telefon do Franka Wynne’a, brata sędziego): Frank, gdzie jesteś? Lepiej, żebyś tu przyszedł. Tom jest odurzony. Tak. Dobrze, dobrze.

Sędzia: Kontynuujmy. Panie... ach... kontynuujmy.

Młody Oskarżyciel Publiczny: Nie wydaje mi się, żeby to było zgodne z prawem, Wysoki Sądzie. Ich zatrzymanie jest nieuzasadnione. Chyba musimy ich wypuścić.

Szef Policji (krzyczy do sędziego): Jasne, że jest, do cholery! Pozwolicie odejść tym draniom? Sędzia zdaje sobie sprawę, że będę go musiał aresztować? Tak właśnie zrobię. Sędzia jest pijany. Pijany w miejscu publicznym. Nie jesteś w stanie prowadzić tej rozprawy. Ośmieszasz naszą społeczność. (Próbuje go złapać).

Sędzia (krzyczy): Ty sukinsynu, zostaw mnie! Grozisz mi?! Wywalę cię na zbity pysk... (Przepychanka).

Carter (próbując ich rozdzielić): Hola, chłopcy, chłopcy, spokojnie. Przestańmy się sprzeczać. Porozmawiajmy. Nie pora walczyć na noże... Na zewnątrz czekają ekipy telewizyjne i prasa z całego świata. Nie wyglądałoby to dobrze. Wiecie, co powiedziałby na to gubernator? Kontynuujmy rozprawę. Możemy przecież dojść do jakiegoś porozumienia.

Urzędnik sądowy: Przepraszam, panie sędzio, dzwonią z BBC z Londynu. Chcą rozmawiać teraz.

Sędzia: Ach tak. Przepraszam was na chwilę, chłopcy. Zaraz wracam. (Pociąga łyka z butelki, którą ma w skarpecie).

Szef Policji (nadal krzyczy): Cholerny cyrk! Niech cię diabli, Carter! Ci chłopcy popełnili przestępstwo. Znaleźliśmy kokainę w tym pieprzonym samochodzie. Czego ci jeszcze trzeba? Wsadzę ich do pierdła. Będą grali według naszych zasad, a ja uderzę w ich czuły punkt. Ile ci płacą, chłoptasiu Hoovera? Jeśli sędzia nie wyda werdyktu, że przeszukanie było zgodne z prawem, aresztuję go za publiczne pijaństwo.

Sędzia (dla BBC): A tak. Byłem w Anglii podczas drugiej wojny światowej. Pilot bombowy, trzysta osiemdziesiąta piąta Grupa Bombowa. Stacjonowałem w Great Ashfield. Wspaniałe czasy. Kocham Anglię. Grałem w golfa. Grałem na wspaniałych polach. Macie wspaniałe pola golfowe... Wennnworth? Właśnie. Chciałem poinformować państwa, że odbędzie się konferencja prasowa z chłopcami, podczas której wyjaśnimy, co się dzieje, jak Rolling Stonesi znaleźli się w naszym mieście i takie tam.

Szef Policji: Mam ich tu i mam zamiar ich zatrzymać. Chcę dorwać tych Angoli, te małe cioty. Niech sobie nie myślą, że są nie wiadomo kim.

Carter: Chcesz wywołać zamieszki? Widziałeś, co się dzieje na zewnątrz? Zamachasz kajdankami i stracisz kontrolę nad tłumem. To w końcu Rolling Stonesi, na litość boską!

Szef Policji: A twoi mali chłopcy pójdą za kratki.

Sędzia (po powrocie z wywiadu): Co się dzieje?

Brat sędziego (bierze go na stronę): Tom, musimy ustąpić. Nie ma prawnych podstaw do zatrzymania. Jeśli nie będziemy działali zgodnie z prawem, rozpęta się burza.

Sędzia: Wiem. Oczywiście. Tak, tak, panie Carter.
Proszę podejść.

Wszyscy poza szefem policji Goberem sobie odpuścili. Przeszukiwanie nie dało niczego, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko nam. Nie mogli nas o nic oskarżyć. Kokaina należała do autostopowicza Freddiego, a poza tym została odkryta nielegalnie. Policja stanowa była teraz w większości po stronie Cartera. Debatując szeptem, Carter i reszta prawników wreszcie doszli do porozumienia z sędzią. Proste. Sędzia chciał zatrzymać nóż myśliwski i wycofać zarzuty – nóż do dziś wisi w sali rozpraw. Nieostrożną jazdę zamienił na drobne wykroczenie, za które dostałem mandat: 165,50 dolarów. Z 50 000 dolarów w gotówce, które przywiózł Carter, zapłacił 5000 dolarów poręczenia za Freddiego i kokainę. Carter miał później wnieść skargę i odzyskać pieniądze. Freddie był wolny. Musieliśmy jednak spełnić ostatni warunek: mieliśmy wziąć udział w konferencji prasowej i zrobić sobie zdjęcia w objęciach sędziego. Ronnie i ja poprowadziliśmy konferencję z ławki. Miałem już na głowie czapkę strażaka i zostałem sfilmowany, jak walę sędziowskim młotkiem i oznajmiam: „sprawa zamknięta”. Uff!



Koniec tej historii był typowy dla Rolling Stonesów. Władze, które nas aresztowały, zawsze stały przed niełatwym wyborem. Chciecie ich zamknąć czy zrobić sobie z nimi zdjęcie i w konwoju wyprowadzić

z miasta? Pojawiały się argumenty za i przeciw. W Fordyce ledwo, ale jednak, nam się udało. Policja stanowa eskortowała nas na lotnisko około drugiej w nocy, gdzie podstawiono dla nas samolot wyposażony w odpowiednią ilość Jacka Daniel'sa.

W 2006 roku polityczne ambicje gubernatora Huckabee z Arkansas, który starał się o nominację na prezydenckiego kandydata Partii Republikańskiej, sprawiły, że ułaskawił mnie za moje wykroczenia sprzed trzydziestu lat. Gubernator Huckabee twierdzi również, że jest gitarzystą. Chyba nawet ma zespół. Tak naprawdę nie było powodu, by mnie ułaskawiać. Nie popełniliśmy w Fordyce żadnego przestępstwa, ale to nie miało znaczenia. I tak zostałem ułaskawiony. Ale co, do cholery, stało się z tamtym samochodem? Cały wypełniony prochami został w garażu. Chciałbym wiedzieć, co zrobili z towarem. Może nigdy nie zdjęli paneli? Może ktoś nadal nim jeździ i nie wie, że jest nafaszerowany całym tym gównem.